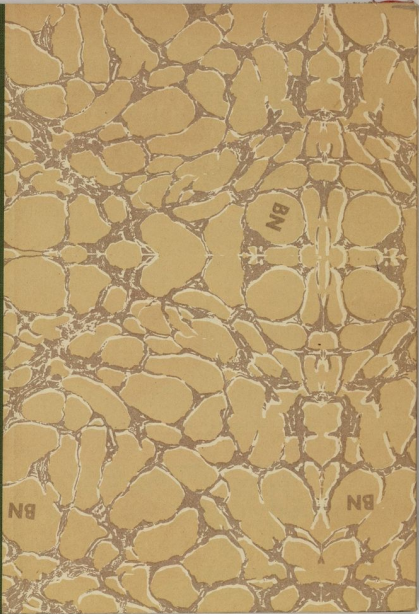
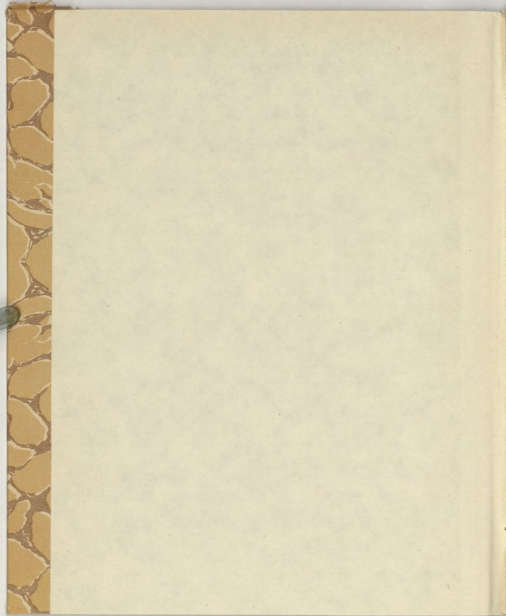
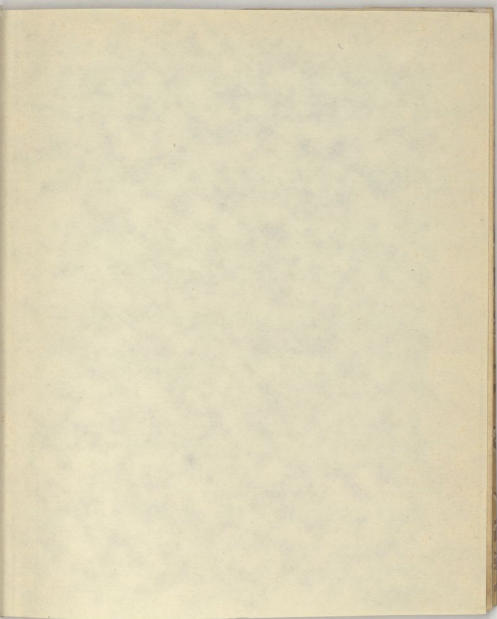
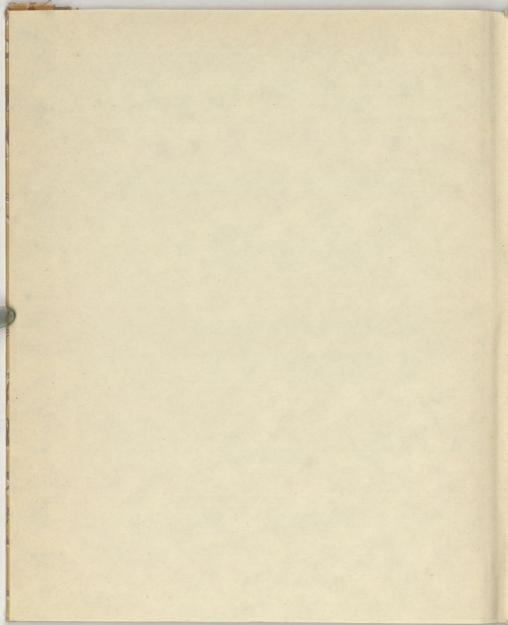


1413131









Marya
Konopnicka

SZCZĘŚLIWY ŚWIATEK.

KSIĄŻKA DLA DZIECI

z 17 ilustracjami



Nakładem Michała Arcta w Warszawie.



II 1.413. 13A



*Dla Wioska
od ciotki Młk.
Grudnia 1919r.*

MARYA KONOPNICKA.


SZCZĘŚLIWY ŚWIATEK.

KSIĄŻKA DLA DZIECI.



I miasto i wioska
To jeden nasz świat!
I wszędzie, dziecino,
Twa siostra, twój brat!

I wszędzie, dziecino,
Wśród lasów, wśród pól,
Jak ty czują radość,
Jak ty czują ból.

—  —
NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA W WARSZAWIE.



BIBLIOTEKA
Biblioteki
NARODOWEJ

II 1.413.13A
NASZA KSIĄŻECZKA.

NASZA KSIĄŻECZKA.

Nasza książeczka jak żywa,
Głosem się prawie odzywa,
Różne historye powiada,
I z dziećmi bawi się rada!

Czasem, jak gdyby umyślnie,
Ślicznym obrazkiem zabłyśnie,
I jasną tęczą roztoczy
Cały nasz światek przed oczy!

W obrazku, jakby kto rano
Wieś wymalował kochaną,
Z dworem, ogrodem i z chatą,
I z wierzbą od mchów kudłatą...

Więc tam i dzieci, i kwiaty,
I ptaszek leci skrzydlaty,
I kot, i piesek, i muszka,
I widać nawet pastuszka...

Droga na pole jak długa...
Dwa siwe wołki u pluga,
Pszczołka w sad leci na miody,
A żóraw skrzypi u wody.

Nad kołowrotkiem, jak żywa,
Babunia stara się kiwa,
Wrzeczono kręci i przędzie,
A dziatwa wkoło obsiedzie.

W bajce: Królewna zaklęta
Łzami zalewa oczęta,
A smok jej strzeże z jabłoni,
Co w złote jabłka aż dzwoni.

Aż tu rycerze z paradą
Na siwych koniach precz jada,
W złotej od słońca kurzawie,
Że slychać tętent ich prawie!

Czasem na drodze nas spotka
Zbłąkana w boru sierotka,
Czasem znów domek chędogi,
Z białemi ścianą i progi...

To w kuźni biją gdzieś młoty,
To zachód słońca lśni złoty,
Aż gwary życia i pieśnie
Noc cicha utuli we śnie!

I na nasz domek kochany,
Zmierzch pada z nieba różany,
Więc już książeczkę składamy,
Idziem na pacierz do Mamy.



LEKCJA EMILKI.

Moje panny! — Proszę siedzieć spokojnie i uważać na wszystko, co mówię. Żadnych miniek, żadnych szeptów, bo to nie żarty, to lekcya! Chińczyk! Czego się śmiejesz?... Otwieram elementarz na chybi trafi. Młode osoby w waszym wieku, moje panny, powinny znać litery na wrywki.

A więc — T... Proszę się przypatrzeć, jak wygląda ta litera! Wszak ładna? Wiele dobrych rzeczy zaczyna się od tej litery. I tak:

— Truskawki! Śliczne, rumiane, rosną w naszym ogrodzie zaraz za porzeczkami. Chińczyk! Czego się śmiejesz? Że wiem, gdzie rosną, to jeszcze nie dowód, żebym tam biegła je rwać! Łakomstwo, mówi Mama, jest brzydką rzeczą. Czasem, przechodząc, schylę się po którą, ale tylko po dojrzałą; a jeśli mi droga często tamtędy wypadnie, to już takie zdarzenie!

O czymżeśmy to mówili... Ale! T... Tabakierka! Jest to małe pudełeczko z ciemnego drzewa, wysadzone masą perłową, z którego Dziadzio zażywa tabakę. Tabakierka nie zawsze jednakowo wygląda. Stary Paweł, gajowy, ma tabakierkę z brzozonej kory, z rzemyczkiem do podnoszenia pokrywki, a Ksiądz proboszcz ma tabakierkę grającą: gdy się ją nakręci, wygrywa krakowiaki i mazurki. Ale czy z takiej, czy z owakiej zażyć tabaki, zawsze w nosie zakręci i... psik! Trzeba kichnąć... Chińczyk! Cóż tam





LEKCYA EMILKI.

za śmiechy znowu? Nie byłeś jeszcze, jak widzę, w żadnej porządnej szkole, na żadnej porządnej lekcji! Nie umiesz się przyzwoicie zachować? Pfe... wstyd mi za ciebie!

Kiedy Dziadzio lub ksiądz Proboszcz zrobi: Apsik!... to wypada grzecznie dygnąć i powiedzieć:—Na zdrowie Dziadzi! Na zdrowie księdzu Proboszczowi!

T... T... Cóżby tu na T...?... Turek! Pies karbowego tak się nazywa. Jest biały, w żółte łaty, zły i szczeka na dziadów. Nasz Mruczuś go nie cierpi i parska na niego. Tego psa wystrzegajcie się bardzo, bo on mi już jedną lalkę na nic potargał. Wszystkie trociny z niej wytrząś!

Ach, jak ta lalka wyglądała po tym wypadku, to strach! Wziął ją też Julek na stracha, kijkami rozparł i postawił w swoim ogródku, w maku, żeby się jej wróble bały. Ach, cóż to za smutna rzecz, kiedy młoda panielka zamieni się w stracha na wróble!

— Chińczyku! Czego się śmiejesz? Zdaje mi się, że zamiast na stoł, będziesz musiał siedzieć pod stołem! A jak i to nie pomoże, to cię obrócę na wycieraczkę do piór! Właśnie mówił Julek, że mu jest potrzebna.

Na fajce Taty jest także Turek. Ale ten jest człowiek, a raczej figurka człowieka. Bó trzeba wam, moje panny, wiedzieć, że jest taki kraj, gdzie mieszkają same Turki. Nazywa się on Turcyą, i stamtąd są tureckie orzechy. Mimi, powtórz!... Bardzo dobrze! Bardzo dobrze!

T... T... Trzcina. Jest to giętki pręt, którym Maryanna trzepie krzesła, dywany, a także szlafrok Dziadzi i burkę Tatusia. Można nim też przetrzepać niektórych rozpustnych chińczyków, co się ze wszystkiego śmieją. Proszę to sobie zapamiętać! Jest jeszcze trzcina gruba, z galką srebrną u góry, na której się opiera Dziadzio, kiedy idzie w pole. Nuci on sobie wtedy zazwyczaj piosneczki stare, bardzo stare, i pokręca wąsa. Dla młodych osób w waszym wieku, moje panny, podpieranie się trzcina jeszcze nie potrzebne. Trzcina rośnie także nad naszym stawem, tam gdzie Tatus chodzi na polowanie, na kaczki dzikie, z wyżłem swoim, Bekasem.

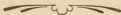
Ta trzcina ma brunatne pałki, z których Julek umie robić bardzo ładne niedźwiedzie, wetknawszy w pałkę cztery kijki zamiast nóg, a głowę dorobiwszy z chleba. Mówię wam, moje panny, o tem dlatego, abyscie, spotkawszy takiego niedźwiedzia, nie myślały, że to prawdziwy, i nie uciekały. Chińczyk! ty nie dobrego! znów się śmiejesz? Spotkanie się z niedźwiedziem wcale nie należy do rzeczy śmiesznych! Nie czytałeś chyba nigdy książki z podróży, w której opisane jest takie spotkanie! Zdaje mi się, że niedługo stąd cię usunę! Patrz! jak Mimi grzecznie siedzi, albo Lili! Po oczkach ich widać, że uważnie słuchają! A ty co?... nieuku!

Cóżby tu jeszcze na T...?...

...Tomaszowa! Niania! Bardzo ją kocham! Ona mnie piastowała, gdy byłam malutka... ot, taka jak wy, moje panny! Tomaszowa śliczne bajki opowiada! A co ich umie, to i nie policzyć! O zakłej królewnie, o trzech braciach, z których dwóch było mądrych, a jeden głupi; o baraním kożuszku... Chińczyk! czego się śmiejesz? czego się za nogi trzymasz? Gdzie pióro?... Chińczyk przez całą lekcję śmieje się i trzyma się za nogi! Złe sprawowanie! pałka! — Tak, masz teraz! Widzisz, czegoś się doczekał!

Tomaszowa bardzo mnie też kocha. Jak robią sery, to mi zawsze daje twarożku. Ale! Twarożek! To także na T. Bardzo smaczny! Dostajemy go czasem do chleba na podwieczorek. Tomaszowa nosi dużą chustkę białą na głowie z haftowanym rogiem; mówi, że to po krakowsku. Mnie zaś nazywa swoją trajkotką!

Chińczyk! Znowu śmiechy? A, to nie do wytrzymania! Do kąta! Godzinę będziesz tu za książkami w kącie stał, rozumiesz? A wy, moje panny, do pudełka! Lekcja skończona. Zaraz zapiszę stopnie: Mimi — piątka! Lili — piątka! Sprawowanie dobre.



PRZED KONCERTEM.

A co wam śpiewać, laleczki?
Bo umiem różne piosneczki:
Takie piosneczki i pieśni,
O jakich lalkom się nie śni!

Umiem piosenki z nad łąki,
Tak jak je nucą skowronki,
Kiedy piórkami szaremi
Pod niebo lecą od ziemi,
Nad ziemią lecą i dzwonią,
Nad polem naszym, nad błonią.

Umiem piosenkę jaskółki,
Gdy lata koło rzeczulki,
I wdzięcznym głosem coś nuci,
Czy się weseli, czy smuci,
Albo na gniazdko gdy leci,
I śpiewa do snu dla dzieci.

Umiem piosenkę żniwiarzy,
Gdy pot im ścieka po twarzy,
A oni, brzęcząc w swe kosy,
Tną żyto srebrne od rosy,
I głos roznoszą daleki,
Aż echo wtórzy od rzeki.

A chcecie piosnek wieczoru,
Gdy idą owce z ugoru,
I krówka z rżyska łaciata...
Gdy trzaska stary Jan z bata,
A ponad wszystkim fujarka
Dźwięczy małego owczarka?

O! u nas piosnek bez liku!
Tyle, co kropel w strumyku,
Tyle, co liści na drzewie,
A skąd się biorą, nikt nie wie.
Tak już w powietrzu ot płyną,
Nad naszą wioską jedyną...

Więc co wam śpiewać, laleczki?
Bo umiem różne piosneczki —
Takie piosneczki i pieśni,
O jakich lalkom się nie śni!





PRZED KONCERTEM.



GĘSIAREK SIEROTA.

Oj! Ubogi ja gęsiarek,
Na tym świecie sam!
Młynarzowe gęsi pasę,
Na fujarce gram.
Młynarzowe gęsi pasę
Po tej strudze w bród,
Na fujarce gram wierzbowej,
Czy mi głód, czy chłód!

Hej, daleko i szeroko
Plynie struga ta!
Jeszcze dalej echo leci,
Gdy sierota gra.
Struga plynie het przez pola
Świecące od ros,
A do nieba, do modrego,
Leci piosnki głos!

Lećże głosie, leć po rosie
Ty piosenka ma,
Sam Pan Jezus slucha z nieba,
Jak sierota gra!
Sam Pan Jezus slucha z nieba,
Z za tych złotych chmur,
Jak się echo fujareczki
Odbija o bór!

— Idźcież jaśni aniołowie,
Aż do rajskich bram,
Zawołajcie ojca, matki
Tej sieroty tam!
Zawołajcie ojca, matki,
Pastuszka tego,
Niech pocieszą, pożałują
Jasienka swego!

Idzie ojciec, idzie matka,
Przez niebieski próg,
Tylko im to rajskie kwiecie
Kłoni się do nóg,
Tylko im ta rajska zorza
Złote szaty тка,
Tylko z oczu lzy im lecą,
Jak Jasienko gra!

A ty, ojczy, a ty, matko,
Błogosławcie mnie!
Niechże ja też na tym świecie
Nie zagubię się!
Niechże ja też na tym świecie
Jasną dołę mam,
I wesolo gąskom moim
Na fujarce gram!



JAK TO BĘDZIE?

Już się oczki wyspały?
Już to patrzą się mile?
A, pieszczoszku mój mały,
Poleż jeszcze przez chwilę!

Jak to rączki wyciąga,
Mój Stasiemek, mój złoty!
Czekaj, czekaj! siostrzyczka
Ma dziś dużo roboty!

Jutro będzie Wielkanoc,
Babki w piec już wsadzone,
Gotują się kiełbasy,
I mieć będziemy święcone!

Najpierw obrus bielutki
Mama na stół położy,
Na nim stanie wpośrodku
Ten Baranek, ten Boży;

Chorągiewka czerwona,
A zaś kijek złotony;
Babka jedna i druga
Z każdej będzie stać strony.

Potem szynka ogromna,
W niej borówka zatknięta,
Na znak, że to radosne
I wiosenne są święta.

Obok będzie kiełbasa
Na okrągłym półmisku,
I prosiątko pieczone,
Co jajeczko ma w pysku.

Jajkiem będziemy się dzielić
Wszyscy w domu z kolei,
Życzyć sobie pociechy,
Życzyć sobie nadziei.

Potem będą mazurki,
— Właśnie robi je mama —
A rodzynki, migdały,
Obierałam ja sama!

Zrana przyjdzie ksiądz Proboszcz,
I poświęci stół cały,
Domek także pokropi,
By się dzieci chowały.

Gdzie tam padnie, to padnie,
Po okienku, po ścianie...
Ej, zobaczysz, Stasięku,
I tobie się dostanie!

Tak się zrobi wesoło,
Tak słońeczko zaświeci —
Ach, już niema, powiadam,
Jak Wielkanoc dla dzieci!



P A R A S O L.

Wuj parasol sobie sprawił.
Ledwo w kątku go postawił,
Zaraz Julka, mały Janek,
Cap za niego, smyk na ganek,
Z ganku w ogród i przez pola
Het, używać parasola!

Idą pełni animuszu:
Janek, zamiast w kapeluszu,
W barankowej ojca czapce,
Julka w czepku po prababce,
Do wiatraka pana Mola!
A wuj szuka parasola.

Już w ogrodzie żabka mała,
Z pod krzaczka ich przestrzegala:
— Deszcz, deszcz idzie! Deszcz, deszcz leci!
Więc do domu wracać, dzieci! —
Mała żabka, ta na czasie
Jak ekonom stary zna się,
I jak krzyknie: deszcz! — to hoła!
Trza tęgiego parasola!



JAK TO BĘDZIE?



PARASOL.

Lecz kompania nasza miła
Wcale żabce nie wierzyła.
— Niech tam woła! Niech tam skrzeczy!
Taka żaba!... wielkie rzeczy!
Co nam wracać za niewola!
Czy nie mamy parasola?

Wtem się wichur zerwie srogi.
Dzieci w krzyk i dalej w nogi!
Szumią trawy, gną się drzewa,
To już nie deszcz, to ulewa!
A najgorsza teraz doła
Nieszczęsnego parasola.

W górę gną się jego żebra,
Deszcz go chlusta, jakby z cebra,
Pękł materyał... Aż pod chmury
Wzniósł parasol pęd wichury.
Darmo dzieci krzyczą: Hola!
Łapaj! Trzymaj parasola!

Nie wiem, jak się to skończyło,
Lecz podobno niezbyt miło;
Żabki o tem może wiedzą,
Co pod grzybkim sobie siedzą;
— Prosim państwa, jeśli wola,
Do naszego parasola! —



CO STAS PISZE?

Stasio pisze:

— «Bardzo mi tu
Smutno bez was, drogie Bąki!
I bez ciebie, mój Jasięku,
I bez tej psotnicy Bronki!

Lotem ptaka do was lecieć
Nieraz bierze mnie ochota...
Już mi tęskno i do kuca,
I do Burka, i do kota.

Do Brońcinej nawet lalki...
Chociaż, cóż tam chłopcu lala! —
Tak mi wszystko teraz miłe,
Kiedy jestem od was zdala.

Ja tu w szkole siedzieć muszę
Nad książkami przez dzień cały;
Wzdycham tylko, żeby prędej
Te wakacye już nastały.

Dopieroż to prysnę sobie
Z szkolnych murów na swobodę!
A powiedzcie Tatusiowi,
Że jak amen, mam nagrodę.

Donieście mi jaknajśpieszniej,
Czy mój kucyk w stajni stoi?
Czy Białasek, kotek, zawsze
Tak samo się Burka boi?

Czy orzechów na leszczynie
Dużo będzie tego lata?
Czy są w polu kuropatwy
I czy na nie chodzi Tata?



CO STAS PISZE?

Pamiętajcie też o szczygłe,
I dawajcie mu siemienia,
Całuję was milion razy
Wasz brat

Staś

I do widzenia!



PAN ZIELONKA.

Pan Zielonka, co nad stawem
Mieszka sobie żabiem prawem,
Ma rodzinę wcale sporą:
Dzieci pono aż pięcioro.

Już od dziada i pradiada
Wielkie Bagno tu posiada,
I przy kępie, pod łopianem,
Na folwarku tym jest panem.

Tu na muszki w lot czatuje,
Tu się kąpie, tu poluje,
Tu napelnia staw swym krzykiem,
A jest sławnym gimnastykiem!

Jak dzień tylko się rozświeci,
Hyc z kąpieci, woła dzieci,
I za chwilę kalwakadą
Taką oto sobie jadą:

Ten najstarszy, co na przodzie
Rej prowadzi w tym pochodzie,
A ma tuszę okazałą,
Od swych ocząt zwie się «Gala».

Ten za ojcem zaś wesoly,
Co się trzyma fraka poly,
I ten w wielkich susach drugi:
«Micch» i «Skrzeczek» na usługi.

Czwarty «Żeruş» na ostatku
Pędzi, krzycząc: — «Tatku! Tatku!
Tatko, widzę, zapomina,
Że ma też Żerusia syna!

Lecz najmłodszy, pieszczoch wielki,
Co się trzyma kamizelki,
I na karku u Tatusia
Wierzchem jedzie, zwie się «Trusia».

Tata chlubi się tym chwatem;
Patrzenie, jak to śmiga batem,
Jak kapelusz mu ojcowy
Dzielnie przypadł na czub głowy!

Nie wiem, czy się wam zdarzyło
Tę kompanię spotkać miłą?
Lecz po deszczu rad się błąka
Z dźwiatwą swoją pan Zielonka.



BUREK I JANKA.

Pójdźno, Burku! Masz tu sianka!
Znasz mnie przecież! Jestem Janka...
Wyszłam sobie w pole sama,
Bo otwarta była brama.

Już nie jestem taka mała,
By mnie niania pilnowała,
I wodziła wciąż na pasku!
Trafie nawet i do lasku,
Wyjdę sama i na pole...
A tam Bociek na stodole...

Zaś pod dachem, to znów rada
Jaskółeczka czarna siada,
Co gniazdeczko ma u góry...
Na nią kot się patrzy bury.
Ten kocisko — to niecnota...
Ja nie kocham wcale kota!

Ja mu za to nie dam mięska!
Ani trochy! ani kęska!
A jak mi się co zostanie,
To dla Brysia na śniadanie.
Bryś jest w budzie i ujada,
Wola, żeby wesprzeć dziada.

A ten dziad, to jest ubogi,
Kij ma zamiast jednej nogi,
Spiewa pieśni i pacierze,
I do torby dzieci bierze,
Ale tylko te paskudne,
Co to beczą i są brudne!

Mnie nie wezmą w torbę dziady...
Nawetby nie dali rady!
Mama teżby mnie nie dała,
A i torba jest za mała.
Zresztą, zawsze mówi niania,
Ze ja jestem grzeczna Jania.





BUREK I JANKA.

STROZAK.

— A co tam za hałas?

— To stróżak wrzeszczy!

— Cóż mu się stało?

— A nic. Tak, z rozpusty!

— A kto tę szybę wybił?

— To stróżak kamieniem cisnął!

— A kot czego tak miauczy?

— Stróżak go poturbował!

— Cóż to za urwis z pod ciemnej gwiazdy! A to bić, a kija nie zdejmować z niego!...

Tak się ten chłopak wszystkim dał we znaki!

Raz konewkę praczce chwycił, w kącie schował. Praczka chodzi, lamentuje, wymyśla, a stróżak — patrzy i śmieje się jej w żywe oczy.

— Franek! — Mówi praczka — ty pewno wiesz, gdzie moja konewka!

— Ja? — Skądbym wiedział!

— Boś ją schował!

— Ja ją schował? Widzieliście, jakem ją chował?

I tak się nastawił, jakby najprawdziwsza prawda.

Praczka do izby, a Franek po konewkę i na drodze ją stawia. Praczka wychodzi, patrzy, jest konewka.

— W Imię Ojca i Syna! A toć konewka! A takem naglądała i nie było! czy tuman jaki, czy co?

A Franek aż się za boki bierze od śmiechu.

Innym razem patrzy, wyleguje się pudel panny Gertrudy na oknie od podwórza na dole. A taki tłusty! muchy mu chodzą po nosie, a on nawet łapą nie ruszy.



Ogromny pieszczoch z tego pudła, na samych łatkach chowany. Frankowi już psota przyszła do głowy: próbuje ręką dostać i w ogon go uszczypnąć, ale za wysoko. Wtem nawija się kot maglarki. Ten kot także jest faworytem i także tak samo prawie tłusty, jak pudel panny Gertrudy. Postrzegłszy kota, stróżak chwytą go za przednie łapy, buja przez chwilę dla lepszego rozmachu, poczem bęc kotem o pudła. Naraz powstał wrzask i pisk, że opowiedzieć trudno! Kot był pewny, że to pudel go napadł, bronił się tedy zębami i pazurami. Pudel rozumiał, że to kocia sprawka, a nie mogąc napastnikowi dać rady, wrzeszczał w niebogłosey. Wkrótce ukazały się w oknach właścicielki bijących się ulubieńców. Panna Gertruda chwyciła kota za kark i przyłożyła mu parę klapsów.

— A masz! A masz!...

— Proszę nie bić mego kota! wołała maglarka. Proszę go zaraz puścić!

— A, to pani kot?... Dobrze że wiem! Pieska mego w mieszkaniu mojem napadł! Może jest wściekły!...

— Co?... mój kot wściekły? To chyba ten szkaradny pudel pani jest wściekły!

— Mój pudel szkaradny?... Jak pani może tak się o moim Filonku wyrażać?

I zaczynały się wymówki, a Franek aż się tarza ze śmiechu. Taki był ten chłopak złośliwy i psotny!

Na wołowej skórce nie spałaby wszystkich jego sprawek. Ojciec, jak ojciec, mało w domu siedział, to wodę nosił, to ulicę zamiętał, to śnieg wygarniał, niewiele mógł wdawać się w te rzeczy. Ale co ta matka przeszła z tym chłopakiem, to strach! Kochał ją, bo kochał, ale cóż, kiedy jednej chwili nie usiedział spokojnie! Dnia nie było, żeby piekła jakiego nie zrobił. A jak ubranie dał! Nastarczyć mu nie można było. Ledwo mu matczyisko uszyło koszulinę, albo i kurteczkę, już z niej w tydzień szmaty!

— A czy się też pali na tobie, chłopcze!—wołała matka, zafamując





STRÓŻAK.

ręce! — A cóż z ciebie za łachmaniarz, co tak drzesz ten przydziewek? Czy ty myślisz, że ojcu, matce z nieba kapie? To ty nie wiesz, że ciężko, że każdy grosz trudny, że dobrze się trza napracować, nim się co kupi? Gdzieś to tak rozdarł ten rękaw?

— Mamuniu złocista, ja sam nie wiem! Tak się oto rozdarło...

— Nie wiesz? Ty nie wiesz?... A kto po drzewach łązi, jak nie ty?—Patrzcież, ludzie! Koszula taka jeszcze dobra, co z rękawami porobił! Aj, chłopaku, chłopaku! Gdzie ty sumienie masz?... A toć ty nas ze wszystkim zmarnujesz!

— Mamuchno złota, ja się już poprawię!

— Poprawisz ty się, wisusie, poprawisz! Z pieca na 1eb! Już ja znam twoją poprawę! Co dzień obiecujesz, a zawsze to samo!

I prawda! Co się ten chłopak nie nacałował matki, co się nie nabiccywał, że już będzie lepszy—wszystko na nic! Ledwo przez próg przejdzie, już mu w głowie nowa psota, nowa awantura. Ojciec możeby temu i dał rady, bo miał porządny pasek rzemienny, co nim opasywał koźuch. Ale matczyśko nie skarżyło się nigdy. Jeden tylko był, więc jak mogła, tak zabiegała. Polata, wypierze, wyburezy, no i tak szło, a poprawy żadnej nie było.

Ale i jej było coraz trudniej, i tylko ręce załamywała, myśląc, co z tego chłopaka będzie?

Kuma i sąsiadka, Pawłowa, nicraz z nią o tem radziła.

— Moja kumo złota! mawiała — co z mego urwisa wyrośnię, to ja nie wiem!

A kuma na pociechę:

— Co ma być, szubienicznik i tyle!

Aż raz umarła w tej kamienicy uboga wyrobnica, wdowa, i zostawiła sierotkę, małego Karolka, co jeszcze roku nie miał. Złożyli się ludzie na trumnę, na pogrzeb, bo tam grosza u tej wdowy ze świecąby nie znalazł, pochowali; ale kiedy przyszło o sierocie radzić, co z nim począć, każdy westchnął tylko.

— Jā sama czworo mam! — mówiła jedna z kobiet.

— U nas też bieda aż piszczy! — mówiła druga.

— Żeby tak większy, tobym wzięta — mówiła trzecia — posłużyłby, zakolysałby mego Jaśka. Ale cóż! toż to i piastowaćby jeszcze trzeba!

Więc kiedy tak stoją i radzą, Franek matkę w rękę całuje i prosi.

— Mamuchnu złota! Weźmy tego Karolka!

— Co ci w głowie?... Ja na ciebie, ty urwisie, nastarczyć nie mogę, a będę jeszcze obec brała?...

Ale Franek nie ustawał molestować matkę...

— Mamuchno złota! Mamuchno jedyna! On taki biedny! Taki mały! Tak tam piszczy, jak ten wróbelek!

Matka broniła się, jak mogła.

— Daj mi ty spokój i z twoim Karolkiem! Dość ja z tobą jednym mam biedy!

Franek się wyprostował, zabłysły mu oczy.

— Mamo! — zawołał, bijąc się kulakiem w podartą kamizelczyne — słowo honoru mamie daję, że jak mama Karolka weźmie, to ja się poprawię. No, już ja mamie powiadam! Ma mama moje słowo! Jak ja się nie poprawię — tom kiep!

Jeszcze się w piersi bił, kiedy wszedł ojciec i postawiwszy w kącie miotłę, rzekł:

— A wiesz, matka, że jabym tego tam bąka, tę sierotę ze suteryny wziął...

A Franek buch ojcę do nóg.

— Tatuńciu złocisty! Tatuńciu serdeczny, jedyny!...

— A tobie co, chłopaku? — pyta ojciec.

Ale Franka już w stancyi nie było. Jak iskra prysnął do suteryny, dzieciaka na ręce porwał i do stancyi przyniósł.

Od tego dnia trudno było poznać, co się ze stróżakiem stało. Jeszcze szaro, on już się zrywa patrzeć, czy Karolek okryty, a jeżeli śpi, to czy mu nie zimno. Da matka śniadanie albo obiad, to go nie tknie sam, póki nie nakarmi Karolka. To myje chłopaczyne, to go czesze, to go piastuje, huśta, piosneczki mu śpiewa, to go chodzić uczy, to siądzie z nim sobie pod słońce na progu i opowiada mu Bóg wie co, to mu latawca z deszczulek i papieru klei...

Matka aż w głowę zachodzi.

— Moja kumo! — mówi do sąsiadki — ten chłopak, to jakby mi go kto przemienił, taki teraz spokojny, taki dobry!

— A kuma:

— Ej! Nie dowierzać! Nie dowierzać! Niedługo to tego będzie!

A nieprawda! Czas mijają, a stróżak jakby nie ten, jakby go miodem smarował, taki posłuszny, taki uległy, taki cichy.

Dziwią się wszyscy w domu, aż głowami kręcą.

Nikt już szyb po sieniach nie wybija, nikt nie dudni piętami po schodach, konewkę gdzie postawią, tam dostoi, kot z pudlem nawet już się nie biją. Aż miło! A matka tylko ręce składa, a Bogu dziękuje.

Nawet koszule Franek przestał drzeć; a kiedy mu matka nową sprawić chciała:

— I..., nie, Mamuchno!—mówi. Jeszcze mi te stare wylatajcie! A te nowe to niechby już na Karolka szły. Z mojej jednej dwieby miał.

Sam się też czesał, mył, matczyne stare trzewiki, co mu je zdała, porządnie sobie na nogach wiązał, złego słowa nikt od niego nie usłyszał.

— A czy cię też Pan Jezus natchnął z tym sierotą!—mówiła stróżka do męża. — Ten nasz chłopak, to się tak ze wszystkim odmieniał, taki się akuratny zrobił, że to daleko szukać takiego!

— Dusza, nie chłopak!—mówiły o nim kobiety z podwórka!—Już nawet nikt go «stróżakiem» nie nazywał.

Wszyscy mu grzecznie mówili: Franuś, Franczek!

Tak byto ciągle.

Aż raz, w pół roku może, siedzi ojciec przed kominem i fajkę pali, a Franek... puc go w rękę!

— Cóż tam nowego?—pyta stróż.

— Jabym Tatuńcia prosił, żeby mnie na książce uczyć kazał, tobym potem, jak będę mądry, Karolka też uczyć mógł!

Zabłyśły na to ojcu łzy w oku, i matka prędko twarz fartuchem otarła, a nazajutrz Franek, uśpiwszy swego wychowawca, zasiadł nad... elementarzem.

Ciekawa rzecz, jak mu też to pójdzie!...





STEFEK BURCZYMUCHA.

STEFEK BURCZYMUCHA.

O większego trudno zucha,
Jak był Stefek Burczymucha...
— Ja nikogo się nie boję!
Choćby niedźwiedź... to dostoję!
Wilki?—Ja ich całą zgraję
Pozabijam i pokraję!
Lew!.. cóż lew jest?—kociak duży!
Naczytałem się podróży,
I znam tego jegomości,
Co zły tylko kiedy pości.
Szakał, wilk?... Straszna nowina!
To jest tylko większa psina!...
(Brysia mijam zaś zdaleka,
Bo nie lubię, gdy kto szczeka!)
Komu zechcę, to dam radę!
Zaraz na ocean jadę,
I nie będę Stefkiem chyba,
Jak nie chwycę wieloryba!—

I tak przez dzień boży cały
Zuch nasz trąbi swe pochwały.

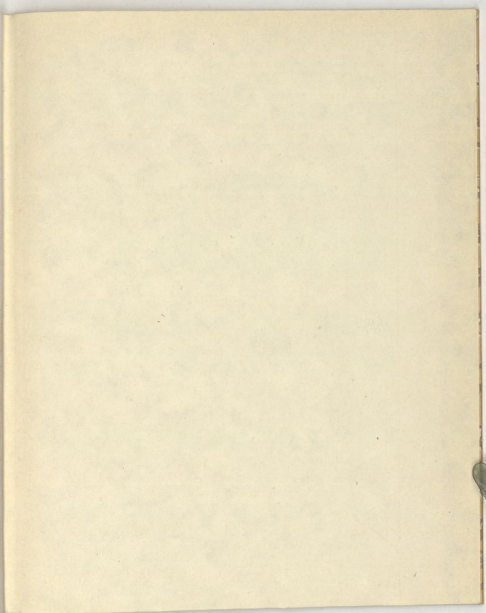
Aż raz usnął gdzieś na sianie...
Wtem się budzi niespodzianie,
Patrzy, a tu jakieś zwierzę
Do śniadania mu się bierze.
Jak nie zerwie się na nogi,
Jak nie wrzaśnie z wielkiej trwogi —
Pędzi, jakby chart ze smyczy...
— Tygrys, Tato! Tygrys!... krzyczy.

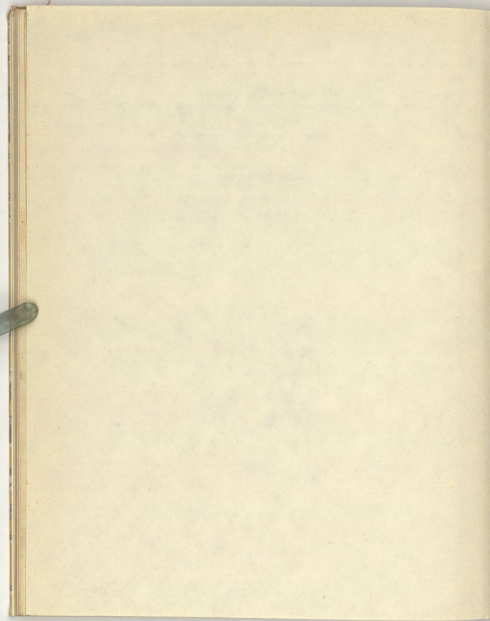
— Tygrys?... Ojciec się zapyta.
— Ach, lew może!... miał kopyta
Straszne! Trzy czy cztery nogi,
Paszczę taką!.. Przytem rogi...
— Gdzież to było?
— Tam na sianie.
Właśnie porwał mi śniadanie...

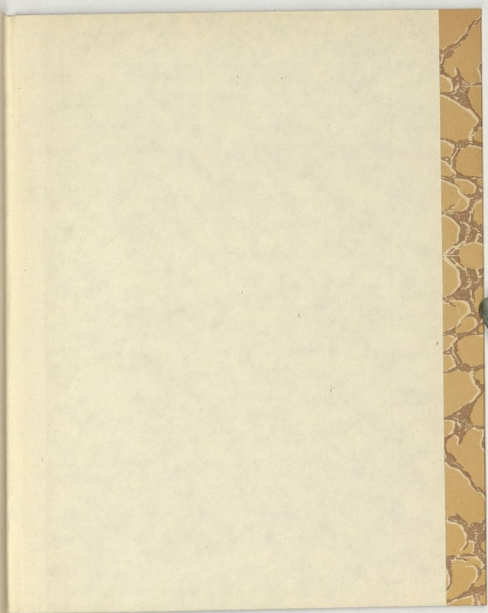
Idzie ojciec, służba cała,
Patrzą, a tu myszka mała,
Połna myszka siedzi sobie,
I ząbkami serek skrobie!...



Ant. Hauke 76.
11-22-15-04-87
800,-









1413131

447

BN

BN

BN

BN